

Warszawa dnia 12 (24) Grudnia 1867 roku.

Nr 52. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

GWIAZDKA.

Z dalekich krajów do Was przybywam,
Radość i szczęście przynoszę Wam,
A w piersi mojej ogień ukrywam,
Co powieźć może do raju bram;
Przyjmcie wesoło posłankę Nieba,
Bo światu takiej gwiazd-
[ki potrzeba.

Patrzcie jak świetny
[blask mej urody,
Ciemność i smutek u-
[chodzą w dal;
Jakby w przezroczu
[przeczystej wody,
Bujam radośnie wśród
[Niebios fal,
I jasnem okiem rzu-
[cam do koła,
Na ludne miasta i ci-
[che sioła.

Ciekawa życia mojego
[księga,
Jasny w niej promyk
[nadziei lśni,
Gorącej wiary moc i
[potęga,
W mej piersi zawsze
[tak silnie tkwi.
Więc wam otwieram jej
[karty białe,
W których ujrzycie
[świętość i chwałę.



Wąż (do Str. 423.)

Gdy ciemnota ziemię
[gnębiła,
Lud pod ogromem upadał wad,
Gwiazda zaranna cicho zstąpiła,
A za nią cnota podąża w ślad;
Bo duch się Boży w człowieka wcielił,
Uśmiech dzieciny świat rozweselił.

Zdala na Wschodzie mędrce cnotliwe,
Tajniki życia badali wciąż,
W tem ich owładło uczucie żywe:
Że nienawiści już starty wąż.
Piekło w posadach swoich zadrżało,
Bo już swe berło utracić miało.

Męże poklękli w cichej pokorze:
Wołają Panie i Ojcze nasz!
Twa święta łaska niech nas wspomoże,
Ty nam kolebkę zbawienia wskaż.
Bo nasza mądrość — to
[pyłek ziemi,
A więc ją oświeć pro-
[mieńmi swemi.

I padli na twarz, aż
[jasna smuga
Na ciemnem Nieba za-
[błysła tle,
Brylantów okiem gwiaz-
[deczka mruga,
Bóg dziatkom swoim
[wskazówkę śle.
Za świętym znakiem
[dążą z pokorą,
W progi stajenki wstę-
[pują skoro.

W Dziecinie małej Bó-
[stwo poznali,
Pokłon Jej biją i nio-
[są dar,
W darze tym, Króla
[świata uznali,
Przy żłobku, piersi ich
[ochłódł żar.
Dziecię! Tyś życia
[Gwiazdą promienną,
Co świat miłością da-
[rzysz niezmienną.

Promień miłości objął świat cały,
Z niej to gwiazd świetnych wytrysnął rój,
I ziemia pieśnią zabrzmiała chwały,
Godowy szczęścia przywdziała strój;
Bo przebaczenie z góry spłynęło,
Ciepłem miłości ziębłych objęło.

Odtąd się życie błogo nam śmieje,
Choć oko nie raz zabiegnie łzą
Mrozy, upały, burze, zawieje,

Kryją blask Nieba, ale za mgłą,
Wdzięcznych nam gwiazdek jaśnieją oczy,
Blasku ich upał, ni chłód nie mroczy.
Anna S.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.—Patrz Nr. 51).

Gdy karczmarz zażądał herbaty, Mrożek poszedł po nią tam gdzie ją zostawił, ale jéj nie znalazł na miejscu. Szukał gdzieindziej i nigdzie znaleźć nie mógł.

— Nie pojmuję gdziem mógł postawić tę herbatę... dość, że przepadła, — rzekł nie chcąc tracić czasu na zbyt długie szukanie.

— No, to daj wódki.

Mniemany Jan Świt nalał natychmiast spory kieliszek, Dawid go wypił jednym łykiem.

— Dziwna jakaś wódka, —rzekł otrząsając się.

— Teraz ja ci powiem, żeś głupi — odezwał się Mrożek, — któż tak pije wódkę z rąk „ przyjaciela” nie mogłaż być zatruta?

Karczmarza dreszcz przeszedł, nie tracił jednak miny.

— Gdybyś mnie struł, jutro by cię złapali.

— Niekoniecznie, — odrzekł Mrożek obojętnie.

Przerażony tą obojętnością, czując jeszcze w ustach dziwny smak wódki, Dawid chciał krzyczeć na gwałt. Mrożek zaledwie zdążył mu przeszkodzić.

— Cicho-że bądź — rzekł szybko, — zbudzisz mi stryja... Gdybym cię struł naprawdę, tobym ci tego przecież nie gadał... Patrz, tę samą wódkę piję sam.

— Nalał sobie pół kieliszka i wypił.

— Nu, jak ty mnie nastraszył — rzekł uspokojony Dawid, — ja już myślałem...

— Widzisz, chciałem ci się odwdzięczyć,—przerwał mu Mrożek, — uczmy się wzajem, a będziemy obaj mądrzejsi, bo nikt nie jest zanadto mądrym... Teraz czas spać, gdyż jutro muszę rano wstać z powodu stryja...

Zostawszy sam, Dawid położył się i myślał.

— Hm! hm!... z nim nauka nie idzie w las... nastraszył mnie naprawdę i dał mi lekcją... gdyby się nie napił tej wódki, to jabym się od niej rozchorował, chociażby była nieszkodliwa... Nu, ale zawsze ja mądrzejszy od niego; dałem jemu kontra-rewers, nu, prawda... tylko na tysiąc reńskich nie na tysiąc dwieście i on tego nie spostrzegł... hm... nie dołożył okiem dołoży workiem... zarobię jeszcze więcej o dwieście reńskich... z całej tej jego spekulacji nie dostanie mu się połowa tylko trzecia część, ja wezmę dwa razy tyle jak on... i kto mądrzejszy?

Przewracał się na posłaniu, głowa mu ciężyła.

— Ta wódka strasznie była tęga, mówił do siebie;— kto tu taką wódką handluje?... to jest głupia spekulacja sprzedawać tęgą wódkę... ja do mojej zawsze wody dolewam... zarabia się na tem dwa razy...

Po chwili inna myśl mu przyszła.

— Ten Jan Świt szczęście ma... jego widać Antek w drodze nie spotkał i nic mu nie zrobił... szkoda, com ja się jego o to nie spytał... nu, spytam się jutro... hm... ktoś tam łazi po górze... złodziej? ah! to on tam ma spać... Gdzie się ten Antek podział? ze Świtem zawsze dobra spekulacja... głupi!

Tak gwarząc z sobą, zamknął wreszcie oczy i usnął.

Mrożek wyszedł od Dawida zupełnie zadowolony.

— Wszystko się stało tak jak ułożyłem — mówił do siebie, — nawet tego mędrca w pole wywiodłem... teraz do dzieła!

Przez czas jakiś również zawczasu przygotowanym otworem podpatrywał Dawida, a gdy spostrzegł że się już położył i leżał bez poruszenia, odszedł od szpary mówiąc do siebie:

— Wódka zrobi swoje, nie ma co czekać... Nie pojmuję gdzie mi się herbata podziać mogła... ha! musiałem ją gdzieś postawić i zapomniałem w roztargnieniu... to dobrze że się z czemś ważniejszem tak nie stało. Teraz zważajmy dobrze, żeby znów czego nie zapomnieć.

Wyszedł przed dom i przedewszystkiem spostrzegł konia karczmarza.

— Koń — rzekł do siebie, — zupełniem nie przygotowany na konia... gdzie go podziać?

Nie namyślając się długo, wyprzągł szkapę i odprowadził ją w miejsce nieco niższe, o kilkadziesiąt kroków oddalone od domu.

— Mniejsza o niego, niech tu sobie robi co chce.

Powróciwszy poszedł na górę, poznosił z niej rozmaite palne materjały i pokładł je na czterech rogach swego domostwa.

Potem drzwi i okna od izby w której spał Dawid, popodpierał i zaryglował tak, jak to ze stańcją zajmowaną przez starego Świta uczynił.

Następnie poszedł do izdebki, którą przeznaczał dla siebie na spoczynek. Leżała ona w środkowej części dosyć obszernego szkolnego domostwa; zamknął i tu okiennicę, nie podpierał jej jednakże. Rzeczy, które mu były najpotrzebniejsze, papiery Jana Świta, pieniądze, pugilares jego stryja i inne jeszcze przedmioty jakie uważał za niezbędne, związał w węzełek i położył przy swem posłaniu.

Wreszcie rozebrał się do koszuli i tak rozebrany wybiegł dopiero na dwór, pozapalał przygotowane materjały palne, a sam coprędzej wrócił do swej izdebki, zamknął się na klucz i rzucił się na posłanie.

— Oni leżą na samych rogach—myślał,— wprzód się spalą na węgiel nim do mnie swąd dojdzie. Nie chiałbym żebym sam ztąd uciekać musiał, wolałbym żeby ludzie mnie wynieśli.

W kilka minut potem, czerwona łuna pożaru zajaśniała nad Skalicami.

X.

Trawiony ogniem namiętności, które w nim Mrożek raz podniecał i zapalał, to znowu przygaszał i tłumił, biedny Janek Gąsienica znajdował się w chwili powrotu Mrożka do Skalic w nadzwyczaj gorączkowym stanie. Zdawało mu się, że wypiłby Dunajca i jeszczeby nie zdołał ugasić pragnienia.

W tej gorączce pił bez umiarkowania wodę ile się znalazło pod ręką, a gdy Mrożek przyrządził herbatę dla stryja i resztę jej zostawił, aby nią poczęstować Dawida, znalazł również pod ręką naczynie z tym napojem i wypił go co do kropli.

Herbata była jak wiadomo zaprawiona usypiającemi kroplami. Ilość jéj jaką wypił Janek, człowieka zdrowego uśpiłaby natychmiast, w rozgorączkowanym i osłabionym nadzwyczajnie, oddziałała przedewszystkiem na mózg i potargać musiała ostatnie węzły jego wątłego umysłu.

Gdy rozmawiał z Mrożkiem był jeszcze przytomnym, lecz kiedy wybiegł na wieś z nożem w ręku, ćmić mu się w oczach i w głowie wikłać poczęło.

Oddalone szczyty gór, pobliskie drzewa i chaty, głazy, krzaki, krzyże przydróżne,—wszystko to zdawało się poruszać koło niego, przybierając fantastyczne postacie potworów i olbrzymów z legend, które słyszał za młodu.

Wystawiał sobie, że wszedł w jakiś nowy, niepojęty, zaczarowany świat.

Myśl pomszczenia się nad Antkiem i nad niewierną Halką nie opuszczała go, lecz drogę i sposobność do jéj wykonania stracił z pamięci.

Wstrząsał swym nożem, to go znowu za pas zatykał, rzucał przekleństwa, śmiał się albo jęczał, stawał na miejscu, biegł znowu jak szalony, mówił do nieżyjących przedmiotów, rzucał się na nie albo uciekał przed niemi. Jednem słowem, wił się i ciskał bez najmniejszego pojęcia o tem co robi i o tem co się z nim działo.

Było to szaleństwo zupełne.

W takim stanie nie mógł pójść drogą do zatraconej chaty ani zamierzonej zemsty dokonać, lecz biegł wciąż dalej i dalej, aż nareszcie w dość znacznej odległości od domu bakałarza, stanął na miejscu i obejrzał się po za siebie.

Niezwykła jasność uderzyła go.

Był właśnie koło dzwonnicy kościelnej. Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, pobiegł do niej i szarpnął kilkakrotnie za sznury.

Echo przeciągle powtarzać zaczęło ponury odgłos dzwonów. Obłąkany przeraził się tym głosem, puścił sznury i uciekł, nieoglądając się za siebie.

Pędził dopóty, dopóki nurtująca w nim trucizna gorączkowej siły nie przemogła.

Daleko po za wsią stoczył się ze skały, do niezbyt głębokiego wąwozu i nie poruszył się więcej. Sen jego był tak ciężki, iż łatwo było wziąść go za nieżyjącego.

Odgłos dzwonów poruszonych ręką warjata, obudził kilku mieszkańców wioski. Niektórzy z nich dostrzegli pożar przez okna i wkrótce potem gromada ludu zbierać się zaczęła około domu bakałarza.

Ratunek był szybki, chociaż przy nadzwyczaj gwałtownem rozwinięciu się pożaru, niepodobna było myśleć o ocaleniu wszystkiego.

Na samprzód wyniesiono Mrożka, do którego drzwi wywalać musiano siekierą; słysząc bowiem dobijanie się ludzi, pewny że wyratowanym zostanie, chciał żeby jak najwięcej czasu nad ocaleniem go stracono, gdyż sądził że ratunek cokolwiek zawcześnie przybywa. Nie otwierał więc drzwi, a gdy je wywalono udawał uśpionego głęboko.

— Niech się tamci dosmarzą, niech mnie dobudzą—myślał, kiedy go szarpano za ręce i krzyczano żeby uciekał.

Gdy się rozbudził wreszcie, był niby nieprzytomny, ale o węzełku swoim pamiętał.

Wkrótce potem zdołano się dobić do Świta i wyniesiono go natychmiast. Ogień nie doszedł do niego jeszcze, przecież nie dawał znaku życia.

Naostatku dopiero można się było dostać do Dawida; kierunek wiatru zapewne był przyczyną, że tę stronę domostwa w której on leżał, najszybciej i najgwałtowniej obejmowały płomienie.

Wyniesiono z nich tylko na pół już z węglonego trupa.

Próżnem byłoby silić się na opis wrażenia, jakie to nieszczęście wywarło na mieszkańcach górskiej wioski. Do uczuć współczucia i boleści jakie w każdej piersi oddźwięk znalazły, przyłączało się powszechne przekonanie, nadzwyczaj przychylne na Mrożka.

— Tamci zginęli... ale pan Bóg ocalił swojego sługę,—mówili jedni.

— Święty człowiek wyszedł z płomieni,—potakiwali im drudzy.

Udając wciąż nie mogącego przyjść do siebie, Mrożek słyszał te słowa, i miał w nich najlepszy dowód, że mu się piekielne przedsiewzięcie jego jak najzupełniej udało.

— Stało się—myślał,—już po wszystkiem... nikt teraz nie powie żem nie Jan Świt... węzełek mój ocalony... mam go pod sobą... nic mi nie jest, mógłbym wstać... ale jeżeli wstanę, trzeba będzie grać dalej resztę komedji... coś mi głowa cięży, nie czuje się zdolnym do rozczulania się teraz nad trupem stryja... to od tej wódki, którą piłem z Dawidem tak mi się oczy kleją... A gdybym był usnął w pożarze i ludzie się spóźnili z ratunkiem... o!... dreszcz mnie przeszedł... ale już do tego nieprzyjdzie, bo już po wszystkiem... Nie trzeba spać... przez sen czasami głupstwa gadam, a tutaj ciągle kręcą się koło mnie... niebędę spał... niebędę...

Powtarzał sobie w myśli że spać nie będzie, opjum przecież było silniejszem od niego. Wkrótce usnął głębokiem snem, który dla ludzi uwijających się około ofiar i spalonego domu, był nowym jeszcze dowodem czystości jego sumienia.

— Tylko poczciwa dusza może zasnąć z takim spokojem po takiej okropnej przygodzie,—powtarzali jedni drugim.

Ponieważ doza usypiającego napoju wypitego przez Mrożka niebyła wielką, więc i sen jego nie był długi.

Nad ranem zbudził się i rozejrzał około siebie.

Znajdował się w świetlicy jednej z najbliższych chat swego spalonego domostwa. Węzełek miał przy sobie... było w nim wszystko.

— Doskonale!.. teraz jeszcze trochę komedji, a wszystko się powiedzie. Ubranie moje spalić się musiało... trzeba posłać do księdza, żeby mi czegokolwiek pożyczył.

Obudził gazdę, u którego się znajdował i zapytał:

— Powiedzcie mi dobry człowieku, gdzie ja jestem i zkąd się tutaj wziąłem?

Wyrzekł to z wyrazem takiej szczeroty, że góralowi łzy się zakręciły w oczach.

— Biedniście wy, panie bakałarzu—rzekł mu,—więc wy nie wiecie nic?

— Miałem okropny sen... pożar... łuna... trupy... nieszczęście, lecz sen mara a Pan Bóg wiara...

— Niestety! niebył to sen, a rzeczywistość...

— Co mówisz?...

— Ot, patrzcie... ztąd przez okno widać było wasze domostwo...

— A gdzie ono teraz?...

— Zgorzało...

Mrożek westchnął głęboko, podniósł oczy do Nieba i rzekł spokojnie.

— Bóg dał, Bóg wziął... niech będzie imie jego błogosławione.

Gazda ze zdumieniem patrzył na ten spokój ewangelicznego Joba.

— Więc nawet ubrania mego nie ocalono?—zapytał Mrożek.

Z szat waszych pozostało cokolwiek... wszystko to poskładali u mnie w komorze... wybierzcie i przy-

odziejecie się, a co wam zbraknie dam wam z mojego.

Wkrótce Mrożek był już ubrany, i teraz dopiero zaczął pytać się o szczegóły o których wiedział dobrze, lecz których wzruszony góral opowiadać mu nie chciał, bojąc się rozdzierać mu serca.

— Pan Bóg mnie dotknął ciężko—rzekł, —tak ciężko, że o niektóre rzeczy pytać się nie śmiem, lękając się większego nieszczęścia. Tej nocy u mnie spało dwóch ludzi... jednym z nich był mój stryj ukochany... drugim karczmarz z jednej tatrzańskiej wioski, który mi winien tysiąc reńskich i przyjechał, żeby się umówić o oddanie... Wszak im się nic nie stało....

Gazda patrzył smutnie na Mrożka, lękliwie dopytującego się o zgorzałych. Chciał mu powiedzieć prawdę, lecz straszne słowo wyjść mu z ust nie mogło..

— Nie wiem,—poszepał...

— O! oni pewno pouciekali zdrowi... Prócz tego od dni kilku przychodził do mnie chłopiec... Janek Gąsiennica... wrócił z wędrówki do tej wsi... wczoraj wieczorem odszedł... był trochę warjat... raz prosił mnie żebym go uczył, to znów odgrażał się że mnie zabije... nic nie zawiniłem... temu chłopcu, więc go się bać nie mogłem... moc Boska czuwa nad niewinnym... Co się stało z tym chłopcem?...

— Odgrażał się że was zabije —powtórzył gazda,—to on was spalił niezawodnie... bo was podpalono na cztery rogi...

— Nie godzi się posądzać bliźniego —odrzekł poważnie Mrożek,—gdyby to on nawet uczynił, to pewno z obłąkania nie ze złośliwości. Teraz podziękuję Bogu, że mój stryj i ten karczmarz ocalał...

To powiedziawszy, ukląkł przed obrazami znajdującemi się w świetlicy i zaczął się modlić gorąco.

Gazda przejęty tym widokiem, nie mogąc utulić rozczulenia i nie chcąc mu przeszkadzać w modlitwie, wyszedł z chaty.

Wkrótce potem rozeszła się po Skalicach wiadomość o tej rozmowie. Powtarzano sobie, że nauczyciel sądzi iż jego stryj i ów karczmarz który mu był winien pieniądze, ocaleli.

— Jak się dowie o śmierci stryja, gotów zamrzeć z boleści—mówiły kobiety.

Głos ogólny jako podpalacza wskazywał Janka Gąsienicę, którego przecież we wsi znaleść nie było można. Jedna tylko z kobiet niedawno zamężna, której kiedyś Janek wpadł w oko i rada była pójść za niego, twierdziła że go widziała jak dzwonił na gwałt w dzwonnicy, a potem pobiegł daleko na góry.

— Poznałam go —mówiła,—choć wyglądał jakby powstał z mogiłek. Bakałarz słusznie mówi, że on chyba zwarjował...

Aż do chwili zjechania sądu, nikt nie śmiał powiedzieć Mrożkowi o stracie stryja, chociaż co chwila objawiał niespokojność o niego przypuszczając, że uciec musiał w góry i mógł gdzie zbłądzić. Zaklinał ludzi żeby go szukali, odegrywał strapienie, rozpacz, chciał sam iść za nim, a gdy go nie puszczono, powracał do modlitwy i nią dopiero uspakajał się na czas jakiś.

Gdy zjechał sąd, rozpoczęły się badania. Wiedząc, że katastrofa nastąpiła przed kilkunastu godzinami, nie spieszono się bynajmniej z rozpoczęciem sekcji ofiar, które przez cały ten czas nie dały znaku życia i dla tego uważano za daleko pilniejsze przesłuchać świadków żywych, których zeznania naprowadzić mogły na ślad podpalacza.

Wszystkie podejrzenia padały na Janka Gąsienicę, o którego bytności we wsi mało kto wiedział i którego z tych nawet co go widzieli u bakałarza, mało kto poznał.

Skutkiem tego sąd wydał rozporządzenie szukania po wsi i przedstawienia sobie każdego, ktoby swojej bytności dostatecznie usprawiedliwić nie potrafił.

Przyszła kolej na zeznanie Mrożka.

Stojąc przed sądem zachował on minę poważną i pobożną. O stratach swoich mówił z rezygnacją, o ludziach życzliwie i dobrze. Zeznał, że się nazywa Jan Świt i przedstawił na to dowody. Gdy go spytano czy podejrzewa Janka Gąsienicę o podpalenie, odpowiedział, że nie podejrzewa nikogo, dodał jednakże że jeśli Janek to uczynił, to przez obłąkanie nie przez złośliwość, albowiem cierpiał na umyśle. Potwierdził przytem, że w obłąkaniu Janek zagrażał mu zabójstwem.

Co do ofiar oświadczył... że jedna z nich jest jego stryjem, drugą zaś jest karczmarz z Zawianego Dawid i oświadczył, że nie wie jakim sposobem uratować się mogli, ani gdzie w tej chwili się znajdują.

Wyraźne przepisy prawa nie pozwalały zbyt oszczędzać delikatnych uczuć poszkodowanego. Musiano mu powiedzieć prawdę i pokazać zwłoki spalonych.

Dowiedziawszy się o śmierci stryja, Mrożek uśmiechnął się i rzekł:

— Przyjąłbym i ten cios straszny z poddaniem się woli Najwyższego... Job ewangieliczny cierpiał więcej, a ja go sobie za wzór w biednem życiu mojem obrałem... lecz darujcie panowie że wam nie uwierzę, chyba mi ciało stryja mego pokażecie. Gdyby tak było jak mówicie... jużby mi o tem ludzie powiedzieli...

Mówiąc te słowa Mrożek liczył zapewne na to, że się bez konfrontacji z ciałem nieboszczyka obejdzie; sądził, że będzie mianym wzgląd na jego boleść. Urzędnicy przecież, nasłuchawszy się tyle o jego rezygnacji, i mając jej dowód przed sobą, postanowili w zupełności zastosować się do przepisów.

Ujrzawszy ciało starca, Mrożek odegrał straszną rozpacz.

Rzucił się na nie z krzykiem, zaczął okrywać pocałunkami, pieścić i tulić w swych objęciach.

Obecni łez powstrzymać nie mogli.

Nagle Mrożek zerwał się na równe nogi, stanął chwilę jak wryty, a potem upadł na wznak.

Mniemany trup stryja podniósł rękę do oczu, przetarł je, podniósł głowę i usiadł patrząc do koła zdziwionym wzrokiem.

Wiemy już, że ciało jego zupełnie nie było dotkniętem przez ogień. Opjum które wypił z herbatą a w części może dym, pogrążyły go w sen tak głęboki i bezwładny, że go wzięto za śmierć rzeczywistą. W śnie tym nie wiedział co się z nim działo i niepojmował gdzie się znajduje w tej chwili.

— Janie—rzekł słabym głosem,—gdzie Jan?... czy przyjechał?...

Obecni zbliżyli się do Mrożka, który leżał bezwładny i blady jak chusta, podnieśli go i wskazali starcowi...

— Ah!... to pan—rzekł z łagodnym uśmiechem Świt,—powiedz mi, proszę co się stało z nami oby-

dwoma?... nic nie rozumiem... czy mój synowiec nieprzyjechał?...

Mrożek powoli opamiętywał się. Czuł, że jest zgubionym. Jeden tylko ratunek pozostawał, ratunek rozpaczny. Cofnąć się niebyło podobna, podał się urzędownie za Jana Świta pozostawało mu więc tylko wmówić w starca, że nim jest rzeczywiście. Liczyć na udanie się tego kroku było więcej jak szaleństwem, ale niebyło wyboru,—tonący brzytwy się chwyta.

— Stryju! ty żyjesz!... ty mnie nie poznajesz—zawołał.

Starzec spojrzał na niego zdziwiony, potrząsnął głową i odpowiedział:

— Nie żartuj pan... powiedz mi gdzie jesteśmy i gdzie mój synowiec?

Widząc, że trzeba korzystać z pierwszej chwili i działać prędko, Mrożek zwrócił się do członków sądu.

— Panowie! czy nie ma między wami lekarza?.... zlitujcie się nad moim stryjem, ratujcie go!... straszne nieszczęście oddziałało na jego umysł... nie poznaje mnie!....

Na bladą twarz starca wystąpił rumieniec oburzenia.

— Ja! warjat!—rzekł głosem silnym i pewnym;—panowie, nie wiem co się stać mogło, spałem zbyt twardo... jestem jednak przytomny, widzę wszystko jasno i żartów tego rodzaju z moich siwych włosów nie ścierpię! Przyjechałem tu wczoraj wieczór z tym właśnie człowiekiem, który dziś się mieni moim synowcem, lecz wczoraj jeszcze dawał sobie inne nazwisko... Mego synowca znam i uroczyście świadczę, że ten pan nim nie jest.

Scena ta miała bardzo licznych świadków. Wszyscy niemal co byli obecni pożarowi i brali udział w ratowaniu, znajdowali się w tej chwili przed komisyą sądową i wszyscy jednogłośnie zaświadczyli, że Mrożek jest Janem Switem. Jedni starali się prześcignąć drugich, w oddawaniu mu świadectwa poczciwości i przykładnego życia.

Sam proboszcz skalicki przyłączył głos swój do téj protestacji.

Mrożek słuchał tych pochwał nie na żarty wzruszony. Zdawało mu się dotąd, że całe jego dzieło zniweczonem zostało w jednej chwili przez to, że stary Świt uszedł śmierci, teraz zdaleka pokazywała mu się możebność wparcia w starca że jest jego synowcem, lub gdyby upornie utrzymywał że tak nie jest, zrobienia mu powszechnej opinji warjata. Ta nowa nadzieja przejmowała go do głębi. Głosem w którym znać było szczerość i serdeczność, dziękował skaliczanom za oddawane sobie świadectwa, a do urzędników odezwał się półgłosem:

— Nie nastajcie panowie... stryj mój przyjdzie do siebie... a zresztą czy mnie uznaje za swego synowca czy nie uznaje, jest to w sprawie wyśledzenia sprawcy pożaru najzupełniej obojętne... Dla panów nie ma wątpliwości kim jestem, dzięki moim papierom i poczciwemu sercu wszystkich skaliczan, którzy tu za mną zaręczyli.

Urzędnicy w istocie przestali się zajmować tym epizodem i chcieli przejść do dalszych czynności.

Stary Świt pojąć tego wszystkiego nie mógł. Zaczynało mu się mięszać w głowie, usnął niby w mieszkaniu swego synowca przywieziony tam przez jego przyjaciela, teraz ocknął się przed sądem, gdzie ów przyjaciel wbrew temu co sam do niego w przeddzień mówił, oświadczał, że jest jego własnym synowcem, synem jego rodzonego brata i na tak niegodziwe kłamstwo, nie tylko że miał dowody piśmienne i całej wsi od dziecka do plebana świadectwo, ale jeszcze wydawało się ono tak naturalnem i prostem, że gdy on przeciw niemu chciał zaprotestować, wszystkich wzięła ochota poczytać go za warjata.

Starzec nie mógł tego ścierpieć i uniósł się. Oczy mu krwią nabiegły, głos ochrypł, myśl odmawiała posłuszeństwa, usta nie dopowiadały wyrazów. Sądził, że nieodzownie w tej chwili musi złożyć dowód przytomnego i zdrowego umysłu, że honor mu nakazuje okazać natychmiast i dosadnie prawdę tego co powiedział, mówił więc ale w gniewie mówił tak, że słowa jego łatwo wziąć było można za pozbawione logicznego związku.

— Panowie! — wołał, — ten człowiek — nie bo to okropne... protestuję... to nie mój synowiec Jan Świt....

— Rzecz ta, pozwól pan — przerwał mu jeden z urzędników,—w téj chwili jest dla nas obojętną...

— Nigdy dla mnie obojętnem być nie może — odparł starzec,—że się ktoś wpiera do mojego stryjowstwa, w żywe oczy zadaje mi kłamstwo, posądza mnie o obłąkanie!... Panowie musicie przyjąć moje zeznanie... zapisać je do protokułu... Jan Świt, mój synowiec pisał do mnie przed tygodniem...

— Pisałem, że się zjadę ze stryjem w Nowym Targu...

— Tak jest... następnie gdym przyjechał do tego miasta, zamiast przybyć do mnie przysłał mi tego pana, który mi powiedział zupełnie inne nazwisko, mianował się przyjacielem Jana Świta i przywiózł od niego list....

Mrożek obojętnie wzruszył ramionami.

— Wszyscy tu we wsi wiedzą — rzekł, — że sam jeździłem do nowego Targu, tam zaś rzuciłem się do nóg twoich drogi stryjaszku i zostałem uściskany przez ciebie.... listu żadnego nie przywiozłem i pokazać go na dowód nie możesz...

— Fałsz!... kłamstwo — miotał się starzec.

— Nie mamy prawa rozwiązywać tej kwestji — wtrącił znów jeden z urzędników,—i wzywamy panów obydwu, żebyście nam w dalszych czynnościach nie przeszkadzali.

Mrożek przysunął się do starego Świta i rzekł mu do ucha, lecz tak że obecni słyszeli.

— Odejdźmy drogi stryju... ludzie Bóg wie co pomyśleć mogą... ja sam rozumiem, że może tej nocy przestałem być twoim synowcem, wszystko to być może... boginki nas przemieniły w czasie pożaru i dzisiaj pewno ja jestem twoim stryjem... ale to da się naprawić.

Widząc się traktowanym jak warjat, którego chcą uspokoić przez uleganie jego obłąkaniu, starzec uniósł się jeszcze bardziej... Szarpnął swe ramię z ręki Mrożka, silnie odepchnął go od siebie, zsiniał, wstrząsnął się konwulsyjnie i przewrócił się na trawę...

Oko Mrożka zaiskrzyło się.

— Apopleksja!... ratunku!...— zawołał,— ratunku kto w Boga wierzy!... Otóż to są skutki przestrachu.... Obłąkanie, uderzenie krwi... śmierć!...

I z przesadzonemi oznakami rozpaczy, załamywał ręce lub oczy zakrywał niemi.

Lekarz sądowy był obecnym wypadkowi, ratu-

nek był natychmiastowy i zręczny, nie można było wątpić nawet o ocaleniu starca.

Mrożek wiedział, że w jego roli leżało nie tylko dopytywać się najtroskliwiej o stan choroby stryja, ale nawet pod pozorem rozpaczy starać się tak natrętnie badać lekarza, żeby mu w używaniu środków ratunku o ile możności przeszkodzić, i myślał nawet użyć tej taktyki.

— Trącę go sobą w łokieć, jak będzie puszczał krew—mówił do siebie, — przetnie staremu żyłę i skończy na pewno....

Nim jednakże zdołał wykonać ten pomysł, o mało sam nie upadł od uderzenia krwi do głowy.

W tej chwili właśnie żandarmi przyprowadzili przed komissją dwóch górali. Jeden z nich był związany, szamotał się, wyrywał, szarpał i krzyczał, drugi—szedł swobodny, bez więzów, spokojnie, nie myśląc o oporze.

Tego drugiego Mrożek nie mógł sobie przypomnieć, choć mu się zdawało, że go widział kiedyś... szamoczącego się za to poznał odrazu i skamieniał.

Był to Antek.

Antek dla Mrożka wstawał jakby z grobu... Liczył na to że plan jego się powiódł, że Janek napadł go z nożem i uciekającego zamordował, w jakim wąwozie po za wsią. Z tej strony był najspokojniejszym i z tej strony właśnie cios go uderzał.

Aresztowanie Antka odbyło się bardzo naturalnie. Mając rozkaz przytrzymywania każdego kto się nie mógł wylegitymować, żandarmi pociągnąć go musieli do tłómaczenia się przed komissją.

Kiedy przyszli po niego chłopak się zmięszał. Zapytany dawał odpowiedzi w których się plątał. Wezwany żeby szedł z żandarmami nie usłuchał, gdy go chciano brać gwałtem stawił opór.

To wszystko pogorszyło jeszcze jego sprawę. Żandarmi postanowili obszukać przy nim czy nie ma noża lub innej broni i przyprowadzić przemocą bez więzów. W czasie rewizji znalazły się znaczne pieniądze.

Na pytanie zkąd do nich przyszedł, Antek nie przygotowany zupełnie, wyrzekł fatalne słowo:

— Znalazłem.

Taki był powód, że go przyprowadzono związanego. Żandarmi posądzili go o podpalenie szkoły i kradzież znajdujących się w niej pieniędzy i powiedzieli mu to wyraźnie.

Widząc się posądzonyn o tę zbrodnię, Antek stracił zupełnie przytomność, nie wiedział co robił i co gadał, pragnął się tylko wyrwać i uciekać.

Gdy go przyprowadzono przed komissją, szamotał się i krzyczał.

— Tam gadali żem zbójca, tutaj żem podpalacz, a ja ani jeden ani drugi, puśćcie mnie... czego chcecie odemnie!... powiem wszystko... te pieniądze nie moje, ale takiego człowieka co mi je sam dał żebym był cicho... powiem wszystko! — puśćcie mnie...

Mrożek bladł i zieleniał słuchając tych wyrazów...

— Z tym będzie twarda i okropna przeprawa — myślał, — ale kto mu uwierzy?... Chyba i jego wezmą za warjata, jeżeli ja wprzód nie zwarjuję.

Urzędnicy sądowi nie zwracając uwagi na krzyki związanego, kazali go trzymać na uboczu i przystąpili do przesłuchania przyprowadzonego bez więzów górala, który przytrzymany był tylko jako obcy, bez żadnej zresztą poszlaki mogącej podać go w podejrzenie, którego zatem należało jak najprędzej przesłuchać, żeby go nie pozbawiać wolności niewinnie, gdyż najprawdopodobniej miał być wypuszczonym.

— Jak się nazywasz? — spytał go indagujący urzędnik.

— Sobek Krypciak — odrzekł aresztowany.

Mrożka nieprzyjemnie uderzyło to imię.

— Zdaje mi się, żem gdzieś widział — rzekł do siebie, — nie wiem dla czego, alebym wolał żeby się nazywał inaczej.

Sobek łatwo się wytłómaczył z swojéj bytności we wsi, do której przyszedł dopiero po pożarze, jak to najwiarogodniejsi świadkowie zaręczyć mogli.

Już go miano uwolnić, gdy indagujący zadał mu jeszcze regulaminowe pytanie:

— Nie masz co do swego zeznania?...

Sobek zamyślił się przez chwilę.

— Ta i nie wiem czy to należy powiedzieć?

— Cóż takiego?... wszystko należy powiedzieć co się tyczy pożaru, podpalacza albo osób spalonych...

— No juści to się tyczy tego pana co się krwią zalał...

— Znasz tego pana... powiedz wszystko...

— Znać bo i nie znam, ale widziałem...

— Kiedy i gdzie?

— A onegdaj na drodze z Nowego Targu do Czorsztyna. *(Dok. nast.)*

Towarzystwo Dobroczynności w Warszawie.

Z wigiliją tegoroczną do Bożego Narodzienia, upływa 53 lat od chwili założenia Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Nieszczęścia spowodowane ówczesnemi wielkiemi wojnami, cisnęły na bruk stolicy całe setki biedaków bez chleba, odzienia i pomieszkania. Widok tem wzruszył do głębi serca p. Zofię hrabinę Ordynatowę Zamoyską, i za jej to staraniem grono dobroczynnych osób zawiązało się w Towarzystwo Dobroczynności, z celem niesienia pomocy ubogiej ludności stolicy.

W początkach swego istnienia, Towarzystwo mieściło się w lokalu w dawnym konwikcie Pijarów przy ulicy Miodowej, następnie przeniosło się w części do klasztoru księży Franciszkanów w Warszawie, a częścią w Grzybowej Woli, wsi o półtory mili za miastem położonéj. Z tego to czasu, a mianowicie od roku 1816 datuje istniejący po dziś lubo pod innym zarządem *Dom Zarobkowy.* W następnym roku na Krakowskiem-Przedmieściu N. 456 gdzie dziś dom Dobrycza otwarto *Sklep Ubogich*, gdzie spieniężano wyroby Domu Zarobkowego. W Grzybowej zaś Woli umieszczono starców nie mogących pracować i kaleki. W roku 1818 Cesarz i Król Aleksander I podarował Towarzystwu 90,000 złp. na urządzenie lokalu, a mianowicie gmachu po klasztorze pp. Karmalitanek na Krakowskiem-Przedmieściu, gdzie obecnie główne ma pomieszczenie. W siedm lat potem (w r. 1820) Towarzystwo podzieliło się na wydziały: *Administracyjny* czyli zarządzający całem Towarzystwem, *Egzaminacyjny* badający stan osób żądających pomocy, *Wsparcia po domach* rozdający w pieniędzach i *Lekarski* dla niesienia ubogim bezpłatnie lekarskiej pomocy. W roku 1826 zaprowadzono *Rozdawanie zupy Rumfordzkiej.* W tymże roku otwarto *Zakład sierot* do przyjmowania, żywienia i ucze-

nia drobnych dziatek. W roku 1829 Zakład starców i kalek przeniesiono z Grzybowej Woli i pomieszczono przy ulicy Bednarskiej przy Towarzystwie, to jest gdzie się obecnie znajdują. W r. 1839 założono pierwszą *Ochronę*, — instytucję niezmiernie dobroczynną dla małych dzieci do 7 lat ich życia. Dziś takich ochron jest 16. Następnie przy ochronie otwarto *Czytelnie niedzielne*, aby i duch wspierać; czytelnie te wypożyczają bezpłatnie bez zastawu książki rozmaite do czytania; przy tychże samych ochronach założono *Kassy Groszowe*, gdzie można składać drobne oszczędności, aby z nich kiedyś większe powstały sumki i dawały procenta. W końcu urządzono *Domy do przyjmowania niemowląt* ssących, których matki pracować muszą za domem, domy te inaczej zowią się *żłobkami*—i założono cztery *Kassy pożyczkowe*, z tych trzy *na słowo* pożyczające małe sumki, a jedna *za rewersami i poręczeniem* wypożyczająca do 1,000 złotych. Na utrzymanie wszystkich tych zakładów dobrze czyniących, składa się bądź publiczność wezwana do tego przez loterje fantowe, koncerta, teatra i inne, bądź też członkowie i opiekunki, opłacające rocznie po kilkanaście rubli. *Al. M.*

WĘŻE KRAJOWE.

Mało jest zapewne stworzeń, względem których uprzedzenia i przesądy dochodziłyby tak daleko jak co do węży, jakkolwiek te uprzedzenia i przesądy nadzwyczaj są upowszechnione, co do tych nawet zwierząt, które nas ciągle otaczają w pożyciu domowiem. Ileż to osób naprzykład czuje na niczem nieopartą, zupełnie nieuzasadnioną, a często aż do pastwienia się posuniętą nienawiść do kotów?... Ile razy zdarza się widzieć ludzi którzy znieść nie mogą widoku tych stworzeń tak pożytecznych, tak miłych dla oka, tak zabawnych w swych figlach, tak zmyślnych i tak łagodnych, dopóki doznana krzywda do obrony ich nie przymusi. Ludzie ci nieraz mający pretensją do ukształcenia i oświaty, winę swej odrazy i nienawiści spędzają na wstręt instynktowny, którego niby przemódz nie potrafią, nie zapominając o tem, że rozum do którego mają pretensją, na to im właśnie jest dany, żeby nad nierozsądnemi instynktami panowali.

Powracając do węży, obrzydzenie i wstręt jakich na ich widok doznajemy, są również niedorzecznemi jak przypisywane im przez nas przymioty i wady. Brać węża za symbol złośliwości, brzydoty, jest tak samo niewłaściwem jak brać go za symbol roztropności i rozumu. Pierwszy przesąd ma może źródło w owem podaniu biblijnem, o wężu, który skusił Ewę i został przeklętym przez Stwórcę. Nieświadomość bierze tutaj dosłownie język figuryczny i ztąd pobudka do odrazy bynajmniej nieuzasadnionej. Wąż w ogóle, z wyjątkiem pewnych gatunków, nie jest stworzeniem złośliwem i szkodliwem, a żaden najjadowitszy nawet gatunek nie jest brzydkim. Na dowód tego ostatniego zdania niech posłużą owe węże sztuczne, któremi sztuka złotnicza i jubilerska przyozdabia ręce i szyje kobiet, starając się odtworzyć jak najwierniej kształty owego oryginału, który z powodu obawy z jaką na niego patrzymy, taki wstręt u nas budzi. Co do innego znów przesądu przypisującego wężowi jakąś nadzwyczajną roztropność, mogącą być wzorem dla ludzi jak twierdzi starożytne zdanie *estote sapientes sicut serpentes*, (bądźcie roztropni jako węże) to już nie wiemy zupełnie zkąd on poszedł, wąż bowiem nie odznacza się między zwierzętami żadnym wyjątkowym rozsądkiem, intelligencja jego bardzo słaba, nie jest jednak ani wyższą ani niższą od tej, jakiej się po jego budowie i stanowisku w ogólnej klassyfikacji zwierzęcego świata spodziewać po nim należy.

Ponieważ we wszystkiem dążyć powinniśmy do poznania prawdy, zwłaszcza że jej nieznajomość nietylko jest ubliżającą dla naszej godności ludzkiej, ale nawet materjalne szkody na nas często sprowadza, godzi nam się więc poznać—choćby pobieżnie, przynajmniej krajowe gatunki węża.

W ogóle węże podzielić można na niejadowite i jadowite. Jadowitemi są: *żmija* i *grzechotnik*, z których tylko pierwsza znajduje się u nas w kraju; z węży zaś niejadowitych, daleko liczniejszych, mamy u siebie tylko *węża wodnego* (w okolicach Pińska zwanego *wiunem*) *i padalca*, którego także nazywają w różnych stronach *żelaznicą*, *ślepuchą* lub *gadziną*.

Pomiędzy wężem a żmiją, na pozór podobnemi do siebie, zachodzi nader ważna różnica fizjologiczna: wąż lęże się z jaj, żmija zaś rodzi się żywa. Niszczenie więc jaj wężych jest tępieniem zarodków ziwerząt pożytecznych a przynajmniej nieszkodliwych, mnożeniu się zaś żmij jadowitych bynajmniej nic nie staje na przeszkodzie. Żmija stanowi w pewnym względzie przejście od zwierząt ssących do jajorodnych, przychodzi na świat jak zwierzęta ssące i w tem jest do nich podobną, nie ssie jednakże jak one; wtem nie różni się od węża wylęgającego się z jaja.

Wężami w ogóle nazywamy zwierzęta, których ciało mniej lub więcej okrągłe, stosunkowo do swej grubości bardzo wydłużone, pozbawione kończyn czyli nóg, pokryte drobną łuską lub nagą zupełnie skórą, mające krew czerwoną zimną i żyjące bądź w wodzie i na lądzie (ziemno-wodne), bądź tylko na lądzie.

Wąż wodny (wiun), dochodzi u nas długości 3 do 4 stóp, grzbiet ma szary, boki białawe a spód ciała błękitnawy; na tylnej części jego głowy znajdują się jasno-żółtawe plamy w formie półksiężyców, które zdaleka spostrzedz można, zwłaszcza na początku lata, to jest po zrzuceniu wierzchniej powłoki skórnej czyli po wyskórzeniu się; te plamy dały początek bajce o królu węży, noszącym koronę na głowie. Odcień barwy różni się cokolwiek u samców i u samic. Szczęki i podniebienie ma usiane drobnemi ząbkami, któremi jednak nic złego człowiekowi zrobić nie może. Posiada prócz tego długi, rozdwojony język, który jest tylko organem czucia, a nie żądłem za jakie ciemnota i przesąd go uważa.

Wąż wodny żyje w wodach stojących i na miejscach niskich w bliskości wód. Karmi się owadami, myszami, niekiedy pożera pisklęta drobnych ptaków gnieżdżących się na ziemi, lecz główną jego karmą są żaby— i to go czyni pożytecznym, gdyż żaby jak wiadomo, pożerają mnóstwo ikry rybiej.

Ten gatunek węża doznawał w starożytności czci religijnej u romaitych narodów. A dziś jeszcze w okolicach, w których wąż wodny przebywa, lud prosty uważa go za istotę przynoszącą szczęście, wpuszcza go do swych chat, pozwala dzieciom swoim bawić się z nim, a one oswajają go i sypiają z nim.

Długość węża zwanego padalcem rzadko przechodzi stopę, ciało jego jest prawie jednostojnie grube, cokolwiek spłaszczone w końcu ogona, pokryte drobną łuską rudawej lub jasno-orzechowej barwy. Przebywa w miejscach wilgotnych, nizkich i bagnistych. Żywi się glistami ziemnemi i owadami a szczególnie gąsienicami, i tym sposobem oddaje bardzo ważną przysługę łąkom i lasom, wytępiając istoty szkodliwe. Język jego niewysuwa się, a otwór ust tak ciasny, że niezdolnym jest ukąsić człowieka.

Stworzenie to najniewinniejsze i bardzo pożyteczne, mające ciało tak kruche, że od uderzenia kijem rozpada się na kawałki, zkąd poszła jego nazwa, jest przedmiotem najprzesądniejszego wstrętu i obawy. Lud prosty twierdzi, że ciało ludzkie zmazane krwią padalca *pada się*, to jest pęka i otwiera coraz nowe trudne do zgojenia a nawet niepodobne do wyleczenia rany—i temu przypisuje jego nazwisko. Przesądowi temu dziwić się zresztą tak bardzo nie można gdy wspomnimy, że tam gdzieby powinien znaleźć naukę, lud znajduje niekiedy utwierdzenie swojego błędu, jak naprzykład w pieśni nabożnej, w której między innemi powiedziano, że kto ufa w Boga, ten:

„Będzie bezpiecznie po żmijach zjadliwych
I po *padalcach* deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędzie
I na *ogromnym smoku* jeździć będzie“

To zestawienie obok siebie rzeczywiście niebezpiecznej żmij i prawdziwie groźnego lwa, z niewinnym—pożytecznym padalcem i nigdy nieistniejącym smokiem, zupełnie usprawiedliwione ze względu na pojęcia owej epoki w której ta pieśń powstała, wątpimy ażeby się przyczynić mogło do rozpowszechnienia zdrowych wyobrażeń pomiędzy ludem.

Nie sądzimy, ażeby nam w przesadnej i źle zrozumianej gorliwości za złe wzięto tę uwagę. Spodziewamy się owszem, że ona niejednemu pasterzowi dusz nasunąć może myśl wytłómaczenia ludowi, że i w pieśniach pobożnych *jako w dziele ludzkiem*, mogą się znajdować wyobrażenia fałszywe, co jednak ani powadze religji nie ubliża, ani branem być nie powinno za dowód, że istnieją gdzie jakie smoki (oprócz niewinnych małych jaszczurek noszących to nazwisko), albo jakie *strachy nocne*, o których także w tej pieśni jest mowa. Nie było profanacją, że tę samą pieśń pióra jak wiadomo Jana Kochanowskiego, oczyścił z przestarzałych językowych wyrażeń Franciszek Karpiński, sądzimy że nie byłoby źle także, gdyby z niej i błędne wyobrażenia pousuwać, a przynajmniej poważnem słowem wytłómaczyć prostaczkom zkąd one się tam wzięły i czy ich na poparcie przesądnych przekonań używać można.

Przechodząc do gatunków jadowitych—grzechotnika, którego jad jest tak gwałtownym, że zabija w przeciągu niespełna godziny człowieka lub wielkie zwierzę, nie mamy wcale u nas a nawet w całej Europie. Znajduje się on tylko w miejscach bagnistych Ameryki, dla tego mówić o nim w tym artykule nie

będziemy. Jadowitym gatunkiem jest u nas żmija, zwana żmiją rudą, długa na półtorej stopy lub mniej, a stosunkowo do swej długości znacznie grubsza od węża wodnego. Gatunek ten ma kilka mniej więcej odróżniających się odmian. Ciało żmij pokryte jest łuskami rozmaitej barwy, mniej lub więcej rudawej. Wzdłuż całego grzbietu ciągnie się ciemno-brunatna smuga jakby z parzystych węzłów złożona, po której żmiję już zdaleka poznać można. Jedna z odmian wyraźniej odróżniająca się od innych, jest cała ciemno-czarna, a wargi ma czysto białemi kropkami upstrzone. Żmija porusza się bardzo powoli, dopiero rozdrażniona ciska się, kąsa, po czem znów wraca do swoich leniwych poruszeń. Zamieszkuje w miejscach odległych od wody, między ciernistemi zaroślami, w lasach iglastych, między kupami kamieni na polach i urwiskach skał, a rzadko w miejscach wilgotnych i miękkich. Podczas suszy szuka cokolwiek cienia, lecz po deszczu gdy ziemia jest jeszcze wilgotną a słońce się pokaże, obiera miejsce najbardziej wystawione na jego promienie i lubi wygrzewać się na nich zwinięta w kółko z głową podniesioną cokolwiek. Gdy się kto zbliża do niej powoli, ostrzega go o niebezpieczeństwie dosyć wyraźnem syczeniem i oddala się, lecz przestraszona nagłem zjawieniem się, nie ciska swego jadu jak przesąd utrzymuje, tylko kąsa, a potem dopiero ucieka. Żywi się owadami i żabami.

Pomimo podobieństwa kształtów—jest wiele wskazówek posłużyć mogących do odróżnienia żmij od niejadowitego węża. Najpierwszą jest miejsce, w którem się ją spotyka, powiedzieliśmy bowiem, że wąż lubi miejsca wilgotne i nadwodne, a żmija suche i oddalone od wody. Co do kształtu wąż ma głowę tak grubą jak reszta ciała, szyja jego nie jest bynajmniej cieńszą—gdy głowa żmij, różni się kształtem i osadzoną jest na szyi stosunkowo cienkiej.

Ukąszenie żmji nie boli z początku bardziej jak mocne ukłucie szpilką, lecz następnie puchnie, sprowadza za sobą gorączkę i ogólne oznaki zatrucia i stać się może przyczyną niebezpiecznej choroby, a nawet śmierci. Niebezpieczeństwo jednak nie w każdej porze i nie przy każdem ukąszeniu jest równe. Wkrótce powyskórzeniu się, przy palącem gorącu, w suche dni słoneczne jest ono daleko niebezpieczniejsze niż przed zrzuceniem zwierzchniej powłoki naskórka, w chłodnych wiosennych lub jesiennych dniach. Również w razie kilku ukąszeń kolejnych, pierwsze jest niebezpieczniejsze od drugiego i tak następnie. Kąsając w członek mięsisty, żmija może go objąć obiema szczękami, zapuścić zęby dość głęboko, przez co znaczniejsza ilość jadu się udziela, jeżeli zaś zęby natrafiły na opór jak naprzykład przy ukąszeniu w kostkę, ukąszenie może być nie dość głębokie, ażeby było szkodliwem. Trzeba bowiem wiedzieć, że jad żmij znajduje się nie na końcu jej zębów lecz w rurkowatem wydrążeniu w ich wnętrzu, a gruczołek którym się wydziela jest w tylnej części zęba pod muskułem skroniowym, który kurcząc się przy kąsaniu, naciska gruczoł i powoduje płynięcie jadu przeznaczonym na to otworem. Nie wszystkie zęby, któremi żmija opatrzoną jest w dziąsłach szczęki dolnej i na podniebieniu są jadowite, lecz tylko dwa znajdujące się po jednym z każdej strony w szczęce górnej, długie, bardzo kończaste, nie grubsze od igły angielskiej, łukowato zakrzywione, białe, podobne do kła. Po za temi kłami po obu stronach szczęki znajduje się kilka zarodków na inne kły, przeznaczone do zastąpienia pierwszych gdyby się złamały. Kły te pokazują się tylko w chwili rozdrażnienia, gdy żmija chce kąsać. Spokojna gdy nie chce ich używać, cofa je i chowa w fałdzistości dziąsła. Skutek ukąszenia zależy również od tego, czy jad dostał się do większych na czyń krwistych lub nie. Jad ten żółtawy, oleisty, bez smaku, sprawiający na języku tylko takie uczucie jak każda materja tłusta, musi dostać się do krwi ażeby był szkodliwym. Jeżeli to ma miejsce, choroba rozwija się szybko i należy natychmiast przedsiębrać środki zaradcze, oraz starać się bez najmniejszej straty czasu o gruntowną pomoc lekarską. Zraniony często nie wie, że został ukąszonym, sądzi że zadrapał się cierniem, i dopiero wtedy się spostrzega, gdy rana napuchnie i stanie się niebieskawą lub czarniawą. Zbyt późne spostrzeżenie się utrudnia naturalnie ratunek. Rana od ukąszenia żmij składa się najczęściej z dwóch nader delikatnych rysów, o ćwierć do połowy cala od siebie odległych, po za któremi znajduje się często odcisk mocnych tylnych zębów. Krew z niej prawie nigdy nie płynie, lecz przy otworze rany zawiesza się żółta, oleista mała kropelka jadu, pomięszanego z sokami wydzielanemi przez ciało.

Przy opatrywaniu rany przedewszystkiem należy oddalić ten wycisk obmywając go wodą lub śliną. Wysysania rany, które zwłaszcza natychmiast po ukąszeniu mogłoby być skuteczne niechcemy zalecać, bo chociaż jad na żołądek najmniejszego wpływu nie wywiera, łatwoby się zdarzyć mogło, że wysysający nie wiedząc o tem, mając jakie skaleczenia na języku, którem jad dostałby się do jego krwi. Jest to więc ratunek bardzo ryzykowny i niebezpieczny. Mocne obwiązanie nicią po nad ukąszeniem jest w pierwszej chwili korzystne, lecz lepiej oddziaływa obłożenie warstwą ziemi wilgotnej, którą, w braku czego innego na polu, płaskim kamykiem przykryć i sznurkiem albo szmatą obwiązać trzeba. Do dalszych środków należą: połknięcie natychmiastowe kilku łyżek oliwy, nacieranie ciała naokoło rany maścią amonjakalną, zmywanie rany samej chlorową wodą, moczenie ukąszonego miejsca w kwaśnem mleku, okładanie rozdartemi żabami lub skwaszonem ciastem, wreszcie picie serwatki lub limonady—są to wszystko środki mniej lub więcej poskramiające szerzenie się jadu i nie mogące zaszkodzić. W każdym jednak razie tylko w pierwszej chwili poprzestać na nich można. Pomoc lekarska, ile można najprędsza, jest konieczną.

Władysław S....



Żmija.

Od Redakcji.

Donosimy czytelnikom naszym, że skutkiem nowych przepisów pocztowych, zmienia się od Nowego 1868 roku dotychczasowy sposób expedycji Opiekuna Domowego na prowincję. Redakcja pomimo zwiększonej ceny dla poczty za przesyłkę pism, postanowiła utrzymać dotychczasową cenę Opiekuna Domowego, z następującemi wszelako zmianami co do formy samej expedycji na prowincję. I tak: Prenumeratorowie z Królestwa jak i Cesarstwa, nadsyłający pieniądze wprost do Redakcji za kop. 75 (złp 5) kwartalnie, przesyłane mieć będą pismo nasze w opaskach pod własnym adresem do najbliższych stacji pocztowych.

Prenumeratorowie z Królestwa składający prenumeratę na stacjach pocztowych lub z Cesarstwa, przesyłający takową nie do Redakcji, ale do Expedycji Gazet w Warszawie, dopłacając 25 kopiejek na kwartał, lecz za to będą mieli przesyłanego Opiekuna Domowego w kopertach pod własnym adresem.

Cena w Warszawie pozostaje bez zmiany, to jest 20 kopiejek (40 groszy) miesięcznie.

Przy następnym 53cim N-e Opiekuna Domowego, który wyjdzie 19/31 Grudnia r. b. (we wtorek dołączony będzie Spis rzeczy i ozdobna okładka. N-r 1-y 1868 roku, wyjdzie w środę następną to jest 27 Grudnia (8 Stycznia) 1867/8 roku i do niego dołączony będzie ścienny „Kalendarz Illustrowany" na r. 1868.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.